

Koniec pracy i powszechny dochód?

Michel Husson

Le Monde diplomatique - Edycja polska, Listopad (Novembre) 2006

<http://www.monde-diplomatique.pl/LMD9/index.php?id=1>

Sporo nurtów politycznych, zresztą dość różnorodnych, opiera swoje projekty przeobrażeń społecznych na tezie o końcu pracy. Wyciągają z niej wnioski, że dziś osią, wokół której powinny kształtować się takie projekty, jest postulat powszechnego dochodu. Chcemy tu wskazać na sprzeczności takiego stanowiska, które w istocie wynikają z wycinkowego w najlepszym razie pojęcia o przeobrażeniach kapitalizmu.

Punktem wyjścia i nicią przewodnią wszelkiej refleksji o pracy powinna być dwoista natura pracy. Po stronie negatywnej jest to stosunek wyzysku, panowania, alienacji, a niektóre jego formy, również „najnowocześniejsze”, graniczą z niewolnictwem. Zarazem jednak jest to sposób uznania społecznego i przestrzeń realizacji. Te dwie strony są nierównomiernie obecne w konkretnych sytuacjach, ale żadna nigdy nie jest nieobecna. Można zastanawiać się nad tym nieustającym napięciem wokół trzech tematów: cierpienia w pracy, wykluczenia „pozbawionych pracy” i aktywności kobiet. W swojej klasycznej książce pt. *Cierpienie we Francji* Christophe Dejours przeprowadza prowokacyjną paralelę między kapitalistyczną organizacją pracy a organizacją obozu koncentracyjnego. Wykazuje jednak również, że duża część dostrzeżonych przez niego cierpień bierze się nie tyle z samej sytuacji zależności, ile z rozdarć, które pociąga ona za sobą w związku z głębokim dążeniem do znalezienia w pracy przyjemności [1]. W innych studiach socjologicznych mówi się o „paradoksalnym zaangażowaniu” pracowników najemnych, na których nie działa tylko „kij” (wszelkiego rodzaju kary, groźba bezrobocia), ale również „marchewka” uznania przez innych i satysfakcji wynikającej z dobrej roboty. To samo można stwierdzić w stosunku do bezrobotnych.

Utrata pracy i rosnące oddalenie od pracy wywołują poczucie własnej bezużyteczności, przynależności do grona tych, których Robert Castel nazywa „nadliczbowymi”. Większość bezrobotnych aspiruje do ponownego znalezienia pracy i duża ich część jest na to gotowa, jeśli nawet ma to oznaczać, że zgodzą się na zatrudnienie na szczególnie niepewnych warunkach, które – jak to nieraz bywa – nie zapewni im dochodu wyższego od zasiłków, o które mogą się starać.

Wreszcie, wzrost aktywności zawodowej kobiet od kilku dziesięcioleci jest innym objawem tej aspiracji. Ta aktywność trwa, mimo wzrostu bezrobocia i dyskryminacji – czy to polegającą na niższych płacach, czy na dłuższym czasie pracy – z którą borykają się w pracy kobiety.

Tak więc, wszelkie jednostronne spojrzenie na pracę jest fałszywe. Należy odprawić z kwitkiem alegorie pracy wywodzące się z pewnej tradycji marksistowskiej (w wersji stalinowskiej) i hymny na cześć wyzwolenia poza pracą, które zwłaszcza w Pożegnaniu proletariatu teoretyzował André Gorz [2]. Oba oblicza pracy są ze sobą nierozdzielnie związane i nie ma emancypacji społecznej bez wyzwolenia pracy.

Teorie końca pracy

Teorie końca pracy, które mają kilka wariantów, funkcjonują zgodnie z następującym rozumowaniem:

- postęp techniczny redukuje pracę do niewielu rzeczy i pełne zatrudnienie jest definitywnie nieosiągalne,
- zamiast „pełnego zatrudnienia” celem powinna być więc „pełna aktywność”,
- ponieważ nie ma pracy dla wszystkich, hasło „praca to prawo” należy zastąpić hasłem „należy się dochód”,
- bezrobotni będący „działaczami” i nieregularnie pracujące osoby z przemysłu rozrywkowego to zapowiedź przyszłego pracownika-obywatela.

Te twierdzenia opierają się na elementach rzeczywistości, ale są dyskusyjne, bo niekompletne. Odpowiedzialności postępu technicznego za wzrost bezrobocia nie można jednoznacznie ustalić. Wzrost wydajności pracy zmalał w porównaniu z latami pełnego zatrudnienia: dziś we Francji mamy dziesięcioprocentowe bezrobocie przy niespełna dwuprocentowym wzroście wydajności pracy; w latach

sześcioletnich wydajność pracy rosła dużo szybciej (ok. 5% rocznie), podczas gdy stopa bezrobocia nie przekraczała 2%. Gdyby wzrost wydajności pracy był bezpośrednią przyczyną bezrobocia, konfiguracja musiałaby być odwrotna.

Wolumen pracy, tzn. ogólna liczba godzin pracy najmniejszej, nie zmniejsza się, tym bardziej, gdy rozumiemy się w skali światowej. We Francji okres ożywienia gospodarczego (1997-2001) pozwolił stworzyć 2 miliony miejsc pracy i obniżyć liczbę bezrobotnych o milion. Oznacza to, że w pewnych warunkach gospodarka może tworzyć miejsca pracy i że istnieje duży rezerwuuar chętnych do zajęcia tych miejsc. Takie stwierdzenie przeciwstawia się pewnemu fatalizmowi głoszącemu, że tworzenie miejsc pracy jest niemożliwe – temu poczuciu dobrze dała wyraz Viviane Forrester w Horrorze ekonomicznym [3]. Jest wiele niezaspokojonych potrzeb, których zaspokojenie mogłoby spowodować tworzenie miejsc pracy; jedyny problem polega na tym, że zaspokojenie tych potrzeb nie jest dostatecznie rentowne. Tak więc, to nie postęp techniczny sam w sobie generuje bezrobocie, lecz jego wdrażanie „na sposób kapitalistyczny”. Innymi słowami, wzrost wydajności pracy stwarza bezrobocie tylko wtedy, gdy dopasowania nie zapewnia skracanie czasu pracy. Rzuci się to w oczy, gdy rozumiemy się w skali XX w.: wydajność pracy wzrosła 13,6 razy, ale siła nabywcza wzrosła tylko 6,9 razy. Ta luka nie doprowadziła do niepożądanego wzrostu bezrobocia na skutek skrócenia czasu pracy w ciągu ubiegłego stulecia o około 45%. Innymi słowami, gdybyśmy dziś nie pracowali o połowę krócej w porównaniu ze średnią z początku XX w., połowa ludności byłaby bezrobotna. „Pełnego zatrudnienia” nie można więc definiować niezależnie od przeciętnego czasu pracy; niedostatek miejsc pracy jest ściśle związany z niedostatecznym skróceniem czasu pracy.

Projekty powszechnego dochodu

Jedną z najbardziej radykalnych implikacji tezy o końcu pracy jest twierdzenie, że należy dokonać redystrybucji dochodu niezależnie od uczestnictwa w jego tworzeniu. Tymczasem to praca tworzy bogactwo dzielone w formie dochodów i podział powszechnego dochodu byłby kompensowany przez pracę tych, którzy jeszcze by ją mieli. Wystąpmy na chwilę w roli adwokatów diabła wytaczając znany argument, że gdyby istniała gwarancja, iż nie pracując otrzyma się międzyzawodową wzrostową płacę minimalną, nikt nie zgadzałby się pracować w zamian za takie wynagrodzenie. Zwolennicy powszechnego dochodu odpowiadają na to, że w takim razie pracodawcy byliby zmuszeni oferować atrakcyjniejsze płace. Lecz ta odpowiedź jest absurdalna: nie można postulować dochodu gwarantowanego, który równałby się płacy minimalnej, jeśli z góry wiadomo, że w tych warunkach żaden pracownik najemny nie zgodziłby się pracować za płacę minimalną. W logicznym postulatcie należałoby określić poziom płacy minimalnej i indeksację poziomu gwarantowanego dochodu na jego podstawie (np. 75%).

Trudno więc uniknąć zróżnicowania. Sprowadza się to jednak do przyznania, że społeczeństwo powszechnego dochodu byłoby skazane na nieubłagany dualizm: z jednej strony ci, którzy mają pracę, z drugiej strony ci, którzy mają tylko dochód. Jaki mechanizm społeczny pozwoliłby określić tych, którzy mają znajdować się w jednym położeniu, i tych, którzy mają znajdować się w innym? Wszelki dalszy wzrost wydajności pracy skutkowałby zmniejszaniem się liczby miejsc pracy niczym skóra szagrynowa i tylko zaostrzałby tę trudność. Natomiast w społeczeństwie czasu wolnego wzrost wydajności pracy skutkowałby w pierwszej kolejności skracaniem czasu pracy dla wszystkich zgodnie z zasadą: „pracować mniej, aby wszyscy pracowali”, która leży u podstaw egalitarnego społeczeństwa.

Wreszcie, jest, rzecz jasna, problem finansowania: jak dokonywałby się transfer bogactw od tych, którzy je wytwarzają, do tych, którzy tylko by je konsumowali? Samo postawienie tej kwestii często wywołuje u zwolenników powszechnego dochodu żywe reakcje. Ich zdaniem ci, którzy ją stawiają, muszą być nudnymi ekonomistami, którzy nie rozumieją, że to aktywność, a nie tylko płacna praca tworzy bogactwo. Lecz ta odpowiedź nie jest bardziej przekonująca w tej samej mierze, w jakiej zwolennicy powszechnego dochodu kładą bardzo mocny nacisk na to, jak powinien być on wysoki, bo jeśli byłby za niski, nic nie odróżniałoby ich projektu od takich wersji liberalnych, jak podatek negatywny wypłacany w krajach anglosaskich osobom pozbawionym pracy. Po to, aby dochód gwarantowany był nośny w prawdziwe przeobrażenia społeczne, musiałby osiągnąć znaczny poziom – rzędu 750 euro miesięcznie.

W takim razie kwestia finansowania staje jeszcze bardziej na ostrzu noża i sprowadza się do następującego pytania: jaki stosunek społeczny zachodzi między robotnikiem produkującym pędzle a uwolnionym od wszelkiej pracy artystą, który nimi maluje? Na jakich warunkach wymiana między jednym a drugim może być równomierna czy prawowita?

Trzeba więc powrócić do spraw grubej forsy, aby ustalić, jaki podział dochodu narodowego pasuje do gwarancji godziwego dochodu dla wszystkich. Okazuje się, że na to przecież rozsądne pytanie pada niewiele odpowiedzi, z wyjątkiem obliczeń, które zaproponował René Passet [4], a wykorzystali na własne potrzeby uczniowie Toni Negriego [5]. Oto jak Passet reasumuje swoją propozycję: „Każdy Francuz powyżej 20 roku życia korzysta z rocznego świadczenia na poziomie progu ubóstwa i każda osoba poniżej 20 roku życia korzysta z dochodu na poziomie połowy tamtego.” Jeśli zaktualizujemy na 2003 r. sumę ustaloną przez Passeta w 1996 r. (40 tys. franków rocznie) i przeliczymy ją na euro, ogólny koszt tak wyliczonego powszechnego świadczenia wyniesie około 370 miliardów euro, czyli nieco ponad jedną czwartą PKB. W celu sfinansowania tej sumy, Passet proponuje puścić w obieg „oszczędności wynikające ze zniesienia części obecnego systemu osłon, z którym dublowałaby się gwarancja dochodu; zasadniczo, zgodnie z klasyfikacją francuską, chodzi o zasiłki macierzyńskie i rodzinne, zasiłki dla bezrobotnych, zasiłki na starość, ale nie o zasiłki zdrowotne i chorobowe, które byłyby utrzymane”. Pokrywa to około trzy czwarte sumy, którą należałoby znaleźć, a resztę można by rozłożyć w czasie dokonując redystrybucji nowej wartości stworzonej przez wzrost gospodarczy.

Ten projekt wyraźnie nie trzyma się kupy. Przede wszystkim, odpowiedź polegająca na rozłożeniu w czasie obala chiński mur, który rzekomo miał oddzielać wywrotową wersję dochodu gwarantowanego od wersji neoliberalnej, w której taki dochód miałby wynosić nieco ponad 3 tys. euro rocznie. W takim przypadku za pierwszy krok w kierunku powszechnego dochodu można by uznać premię za zatrudnienie. Tymczasem w rzeczywistości chodzi o perwersyjny mechanizm, który sprowadza się do przyznania racji dyskursowi pracodawców o „nadmiernej” wysokości niskich płac i przerzucenia na państwo odpowiedzialności za „uzupełnienie” płac, z których nie można wyżyć. Wraz ze zmniejszeniem składek uiszczanych przez pracodawców, jest to najlepszy sposób ściągnięcia całej hierarchii płacowej w dół.

Przede wszystkim jednak puszczenie transferów socjalnych w obieg jest nie do przyjęcia. Zdumiewa, że ani Passet, ani Carlo Vercellone, który przejął ten pomysł, nie zdają sobie z tego sprawy. Zasadniczo jest to ogromny transfer kosztem emerytów. Po takiej reformie wszystkie emerytury usytuowałyby się na poziomie progu ubóstwa. Z tytułu świadczeń na starość 12 mln osób powyżej 60 roku życia otrzymuje dziś około 184 miliardy euro, tj. około 12,5% PKB. Po proponowanej reformie otrzymywałyby one tylko powszechne świadczenie (ok. 7500 euro rocznie), które byłoby średnio o połowę niższe niż obecnie. Tylko emeryci korzystający z innych zasobów niż emerytura dysponowałiby dochodem przekraczającym próg ubóstwa. Passetowi i Vercellone bardzo trudno byłoby bronić takiego projektu w toku debaty o emeryturach, gdyż sytuuje się on w bezpośredniej opozycji do osi mobilizacji społecznej.

Tak samo byłoby z bezrobotnymi, z których żaden nie otrzymywałby świadczenia powyżej progu ubóstwa. Zwolennicy takiego stanowiska w ruchu bezrobotnych też mieliby duże trudności z jego obroną, gdyby tylko zeszli z terenu abstrakcyjnego dyskursu. Jeśli chodzi o świadczenie macierzyńskie i rodzinne, jest to trudniej ustalić, gdyż nie wiadomo, czy rodzice osób poniżej 20 roku życia, które korzystałyby z połowy świadczenia, mogliby dysponować nim zgodnie ze swoją wolą, czy też trafiałoby ono na książeczkę oszczędnościową, którą młody człowiek dysponowałby po osiągnięciu 20 roku życia. Krótko mówiąc, chodzi o rozdzielenie między pracowników globalnej masy płacowej (wraz ze składkami) bez podważenia podziału wytworzonej wartości na płace i zyski.

Wreszcie, jeśli chodzi o miejsce kobiet w tych wszystkich projektach, ciąży na nich głęboka dwuznaczność. Ponadto jest rzeczą uderzającą, że literatura poświęcona powszechnemu dochodowi praktycznie nigdy nie uwzględnia wymiaru płci i nie zastanawia się nad specyfiką pracy kobiet. Niewątpliwie nie przypadkiem: kwestia prawa kobiet do pracy w sposób szczególnie wrażliwy ujawnia sprzeczności też o powszechnym dochodzie. Jeśli praca najemna to tylko niewola, kobiety powinny być zadowolone, gdy odsuwa się je od pracy, a następnie zażądać gwarantowanego dochodu jako kompensaty za swoją aktywność społeczną. Nie sposób jednak nie dostrzec, że to rozumowanie zderza się czołowo z egalitarnymi aspiracjami kobiet

w dziedzinie zatrudnienia. Wypłacanie im zasiłku, aby nie pracowały, czy dlatego, że nie pracują – oto projekt, który wcale nie jest szczególnie postępowy, a gwarantowany dochód zaczyna przypominać zasiłek wychowawczy czy nawet bardzo wątpliwą płacę macierzyńską [6].

W ogóle dziwi, że – jak się wydaje – nikt nie zauważa sprzeczności między projektami powszechnego dochodu a dążeniem do uznania praw społecznych. Polega ono na bezpłatnym dysponowaniu dobrami wspólnymi, a nie na dystrybucji dochodów. Zwolennicy powszechnego dochodu zawsze wyrażają swoje projekty w kategoriach pieniężnych i w ten sposób odwracają się np. plecami do postulatu bezpłatnej służby zdrowia. Jakie rozwiązania są naprawdę postępowe w kwestii mieszkaniowej: polityka municypalizacji gruntów i budowy mieszkań socjalnych czy wzrost zasiłków mieszkaniowych? Ten tropizm pieniężny faktycznie prowadzi zwolenników powszechnego dochodu (z czego zresztą nie zdają oni sobie sprawy, gdyż w ogóle nie dostrzegają takiego problemu) ku rozszerzaniu sfery utowarowienia. To co najmniej dziwne.

Pomieszanie powszechnego dochodu z dochodem gwarantowanym

Choć terminologia na tym polu nie jest wyraźnie umocowana, można wyróżnić dwie koncepcje, które różnią się swoimi horyzontami. Postulat dochodu gwarantowanego jest z rzędu tych postulatów, które mają rozwiązać palący problem społeczny: gdy żądamy podwyżki minimów socjalnych, chodzi nam o to, aby tu i teraz zapewnić bezrobotnym godziwy dochód. Tymczasem powszechny dochód określa się jako podstawową dźwignię projektu przeobrażeń społecznych. Rozróżnienie tych dwóch pojęć to bardzo ważna rzecz. Pierwszym powodem jest to, że ci, którzy nie są przekonani do projektów powszechnego dochodu, wcale nie ignorują natychmiastowej potrzeby zapewnienia godziwego dochodu tym wszystkim, którzy go nie posiadają. Kulturowane na tym polu zamieszanie pojęciowe pozwala zwolennikom powszechnego dochodu dyskwalifikować krytykę pod swoim adresem twierdząc, że świadczy ona o zupełnym braku zainteresowania losem bezrobotnych. To oczywiście bzdura – jedni i drudzy biorą udział w mobilizacjach na rzecz dochodu gwarantowanego. Drugą stroną medalu jest czynienie z powszechnego dochodu kręgosłupa alternatywnego projektu i w ten sposób dyskutowanie walki bezrobotnych – tak, jakby legitymowała ona postulat powszechnego dochodu. Skutkiem jest wekslowanie ruchu bezrobotnych na boczny tor, bo neguje się jego walkę o prawo do pracy. Takie podejście, dyskwalifikujące jako „robociarski” postulat powrotu do pełnego zatrudnienia, który zwolennicy powszechnego dochodu utożsamiają w swojej propagandzie z przymusowym zatrudnieniem na niepewnych warunkach, utrudnia rozwój globalnego projektu obejmującego ogół pracowników najemnych – pracujących i bezrobotnych.

Nieubłagana logika orędowania za powszechnym dochodem jest taka, że z zatrudnienia na niepewnych warunkach czyni jedynie możliwą zapowiedź nowego społeczeństwa. Nieregularnie zatrudnionych pracowników przemysłu rozrywkowego przedstawia się jako „pracowników” przyszłości. Jednak wbrew mętnym teoriom kapitalizmu „poznawczego”, wcale nie obserwuje się tendencji do zastępowania ogółu pracowników najemnych tego rodzaju pracownikami. Współczesny kapitalizm naciera na co najmniej dwóch frontach. Z jednej strony rzeczywiście rozwija nowe formy zatrudnienia, które, jeśli ktoś chce, może nazwać „poznawczymi”, a w których wiedza pracownika i nakłady na nią, ponoszone przez niego poza czasem pracy, stanowią jakościową nową siłę wytwórczą, którą kapitalizm stara się pozyskać i wykorzystać w swoim interesie. Lecz z drugiej strony kapitalizm reprodukuje bardzo klasyczne formy superwyżyskiwanego proletariatu i udaje mu się zintensyfikować pracę ogółu pracowników najemnych.

Rzeczywistość społeczna nie jest więc zgodna z tezą o końcu pracy, która stawia hipotezę nieubłaganego kurczenia się sfery pracy najemnej i przepowiada swojego rodzaju samorozpuszczenie się kapitalizmu w „gospodarce wiedzy”. Jasne, że kapitalizm się przeobraża, ale w żadnej mierze nie można powiedzieć, że wiednie, tak, jakby pole zastosowania jego logiki stopniowo się kurczyło, pozostawiając wolne pole rozkwitowi nowych rodzajów stosunku do pracy. Dlatego wyzwolenia pracy nie można osiągnąć w sposób peryferyjny, w jakimś ruchu polegającym na dezercji poza kapitalistyczne serce stosunku pracy najemnej. Rzecz polega więc na powierzchownym radykalizmie, który rezygnuje z oddziaływania na położenie standardowego pracownika najemnego – i to akurat wtedy, gdy szerzenie się czegoś, co Marks nazwał „rezerwową armią przemysłową”, jest warunkiem wzmożonej intensywności pracy. Akurat wtedy, gdy z powodzeniem szerzą się tezy głoszące, że praca traci swoje kluczowe znaczenie, kapitalizm utwardza się brutalnie i marginalizuje tych, którzy już nie mogą pozostawać w stosunku do pracy właściwym dla

pracowników najemnych. Wielką słabością tych teorii jest wreszcie to, że nie doceniają tendencji współczesnego kapitalizmu, który zmierza do opanowania całej sfery społecznej i stara się zmusić całą tę sferę do uległości wobec jego logiki towarowej.

Zredefiniować alternatywy

Główną osią walki powinno być więc skrócenie czasu pracy dla wszystkich, połączone z rozszerzaniem sfery bezpłatnego zaspokajania potrzeb społecznych. Z tego punktu widzenia skrócenie czasu pracy i zakaz zwolnień grupowych konkretnie stawiają kwestię odtowarowienia siły roboczej. Dziś równomierny rozkład godzin pracy przyniósłby około trzydziestogodzinny tydzień pracy, który mógłby być jeszcze krótszy, gdyby zlikwidowano zbędne miejsca pracy. Stają się one niezbędne np. ze względu na to, że korzystanie ze służb publicznych nie jest bezpłatne, albo na to, że wzrastają wydatki na nieproduktywną konkurencję. Stopa życiowa podniosłaby się głównie na skutek rozszerzenia praw społecznych (prawa do pracy, opieki zdrowotnej, mieszkania itd.), zapewnionego przez uspołecznione finansowanie (bezpłatność lub quasi-bezpłatność).

Ten projekt napotyka dwie główne przeszkody: strukturę podziału bogactw i prawo własności. Jego realizacja wymaga zakwestionowania stosunków pracy w samych przedsiębiorstwach poprzez kontrolę pracowniczą nad najmem do pracy oraz warunkami i organizacją pracy. Zarazem ma on oparcie w gwarantowaniu zasobów pracowniczych i ciągłości ich dochodów.

Krótko mówiąc, zamiast przeciwstawiać postulat gwarantowanego dochodu postulatowi nowego pełnego zatrudnienia, należy powiązać postulat czasu wolnego z postulatem przeobrażenia czasu pracy. Przewyciężenie tej sprzeczności wymaga wynalezienia takich form organizacji, które uporałyby się z czynnikami rozczłonkowania klasy robotniczej (pracownicy najemni/bezrobotni, wielkie zakłady/podwykonawcy, sektor publiczny/sektor prywatny, mężczyźni/kobiety, wymuszanie konkurencji między pracownikami najemnymi za pośrednictwem globalizacji).

Łańcuch strategiczny byłby wówczas, z grubsza biorąc, następujący: połączona afirmacja prawa do pracy i prawa do ciągłości dochodu, kontestacja obecnej struktury podziału bogactw, wymóg skrócenia czasu pracy połączonego z proporcjonalnym do niego wzrostem zatrudnienia, kontrola pracownicza nad najmem do pracy, odrzucenie władzy pracodawców nad zatrudnieniem i warunkami pracy, odtowarowienie siły roboczej, zakwestionowanie własności prywatnej. Hasło przyświecające temu podejściu mogłoby więc brzmieć: wszyscy pracownikami i pracownicami najemnymi, aby znieść pracę najemną.

Michel Husson

(tłum. Zbigniew M. Kowalewski)

[1] Ch. Dejours, *Souffrance en France: La banalisation de l'injustice sociale*, Paryż, Seuil 1998.

[2] A. Gorz, *Adieux au prolétariat: Au-delà du socialisme*, Paryż, Galilée 1980.

[3] V. Forrester, *L'horreur économique*, Paryż, Fayard 1996.

[4] R. Passet, *L'illusion néo-libérale*, Paryż, Fayard 2000.

[5] C. Vercellone (red.), *Sommes-nous sortis du capitalisme industriel?*, Paryż, La Dispute 2002.

[6] A. Eydoux, R. Silvera, „De l'allocation universelle au salaire maternel, il n'y a qu'un pas à ne pas franchir”, w: Th. Coutrot, Ch. Ramaux (red.), *Le bel avenir du contrat de travail*, Paryż, Syros, 2000.